N^er 18. Kraków 15 września 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

OGŁOSZENIE.

Z dniem 1 października r. b. rozpoczynamy **trzeci rok** wydawnictwa „**KALINY**“. Co do pracy i usiłowań naszych odwołujemy się do sądu saméjże Publiczności i do sądu najsurowszéj krytyki — a zwrócimy uwagę na jedno tylko, że od początku wydawnictwa nie podnosząc wcale prenumeraty, zaprowadzamy prawie z każdym kwartałem nowe ulepszenia, tak co do treści jak i objętości pisma. Rozwój i dogodność pisma zależy od samychże Sz. Prenumeratorów, z których wzrastającą liczbą i starania około wartości pisma skuteczniéj podejmowane być mogą.

W najbliższych numerach zamieścimy między innemi: „Balowe rękawiczki“, komedja salonowa, przez Wł. hr. Koziebrodzkiego. — „Carl“, najnowsza powieść pani George Sand. — „Piękna kobieta“, powieść przez Elpidona. — Historją romansopisarstwa. — Historją teatru od najdawniejszych czasów. — Praca kobiet — jéj potrzeba, warunki, rodzaje. — Szkice z tułaczego życia. — Obrazy z podróży po świecie i t. d.

☞ **Rubrykę mód urządziliśmy w sposób zupełnie nowy. — Podawać będziemy rzeczy te same, które pisma niemieckie podają: ryciny kolorowe, kroje w naturalnéj wielkości. wzory robót. haftów. ubiorów** i t. p. obficie i bogato. — Również **nuty** i nadal po téj saméj niesłychanie nizkiéj cenie dostarczać będziemy.

☞ Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty i zaległości. ☜

Redakcja.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c.— ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje niepieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Przy dzisiejszym numerze dołączamy dla Pren. **nuty: „Koniec pieśni“** na fortepian przez Szuhmana.

O poezyi lirycznéj

na podstawie liryki greckiéj

(wykład publiczny miany w sali Tow. nauk. krak. d. 1 kwietnia 1868)

przez ***Alfreda Szczepańskiego.***

(Ciąg dalszy.)

W poezyi greckiéj w ogóle odznaczyło się wiele kobiet, jak Kleobulina, Erinna, Telexilla, Praxilla, Myrtis, Korinna, która to ostatnia nawet w agonach na olimpijskich igrzyskach przeciw Pindarowi walczyła i pięć razy przyznano jéj wieniec zwycięzki.

Sofo była również wybranką muz; wyłącznem zajęciem jéj życia była literatura, poezja. Jest ona jednym z nielicznych pojawów otwartych wyznań kobiety. Salon jéj literacki, było to jednak coś zupełnie odmiennego od dzisiejszych wyobrażeń.

Obyczaj grecki nie pozwalał bowiem na wspólne towarzystwo mężczyzn i kobiet — warunek ten spółeczny nadając inną od naszéj postać ich domowym zebraniom, był również przyczyną szczególnego w swoim rodzaju zjawiska, którego nigdzie więcéj prócz w greckiéj liryce nie napotykamy. Do przyjemności pożycia towarzyskiego potrzeba koniecznie harmonii przeciwieństw, magnetycznego uroku, potrzeba po prostu, aby towarzystwo było mięszane. Gdy na ten warunek obyczaj grecki nie pozwalał, a jednak naród grecki w towarzyskiém pożyciu bardzo się lubował — nie pozostawało mu więc, jak tylko wynaleść i cieszyć się harmoniją innych przeciwieństw jako to: starości, a młodości — męzkości, a dzieciństwa; wdzięk i świeżość młodzieży, muzyka, taniec, popisy gimnastyczne musiały temu narodowi artystów wynagradzać, a raczéj zastępować nieobecność kobiet w towarzystwach męzkich, a mężczyzn w towarzystwach żeńskich. Ztąd to pochodzi, to jest właściwa z natury ówczesnych stosunków wynikająca przyczyna, że u poetów greckich znajdujemy wiele pieśni do chłopców, a u poetek pieśni do dziewcząt.

Tak też w komnatach kobiecych (gynekonitis) u Safony odbywały się jakby akademie żeńskie. Gracja zachowania się, wykształcenie muzyczne, poezja, oto były przedmioty zajęcia w téj szkole zamkniętego, poufnego pożycia. Tam to powstawały jéj przygodne pieśni do dziewcząt: o ogładzie towarzyskiéj, o przyjaźni, o uczuciu piękna, o ufności, o harmonii postaci, o ozdobności ubioru itp.

Nie te jednak pieśni wsławiły Safonę, lecz jéj żale zawiedzionéj miłości. Nie wiadomo, w kim się kochała — a w niéj miał się kochać poeta Alkeos.

(Przekazano w tradycyi, że Safo z rozpaczy rzuciła się w morze z Leukadyjskiéj skały. Podanie to utrzymuje się, podróżni zwiedzają owo miejsce, które nieraz poetów, a między nimi i Byrona do niejednéj pięknéj zwrotki natchnęło. Trzeba jednak wiedzieć, że poetka nasza mówi sama o sobie w swoich wierszach: że jest już starą, a zdrową. Albo więc musiała być inna Safona, albo należy całe romantyczne podanie uznać za błędne i zmyślone. Boć przecie trudno przypuścić, iżby poetka „stara a zdrowa“, jeszcze na starość mogla była tak sobie lekkomyślnie poczynać).

Z poezyj pozostałych po niéj przytoczę tu dwa wyjątki *): hymn do bogini miłości — i westchnienie:

Promieniejącą blaskami, o! boską,
Bogatą w podstęp błagam Afrodytę:
Niech mi bolesną nie wzbiera dziś troską
Serce przebite.
O jeżli niegdyś, na głos mojéj duszy,
Na złotym wozie ptakami niesiona
Spływałaś w pomoc sercu co w katuszy;
A uśmiechniona
Pytałaś, czemu wołam cię z tęsknotą,
Czego chcę w sercu, co ogniami płonie?
Jeżeli kiedy odpowiedź z ochotą
Dałaś Safonie:
„Jeżli ucieka, gonić ciebie będzie,
Jeżli odrzuca, natrętnym się stanie,
Jeżli niekocha, rozpłonie, bo wszędzie
Znajdziesz kochanie“.
Bogini moja, teraz spiesz łaskawie,
Teraz mi serca wypełń ty życzenie:
Teraz mnie ratuj, kiedy mnie cierpienie
Obala prawie.

Gwiazdo wieczoru, ty przynosisz jednym
Biesiadę miłą,
Przyjaciół drugim niesiesz i rozkosze.
Pod twoim promieniem
Wesoła matka tęsknemi oczyma
Dziecię powita.
Gwiazdo wieczoru, czyż dla mnie nic niema?

Jest to poezja tak rzewna i głęboka i tak mistrzowska co do formy, że do arcydzieł w literaturze całego świata policzoną być musi.

Przy utworach tego rodzaju liryki tak ściśle osobistéj nasuwają się konieczne pytania: co nas to właściwie obchodzi, że się tam ktoś kochał, czy cierpiał?

*) Przekład Szujskiego.

na czém tu polega wartość, piękność, jaki cel takich wierszy, jaka idea przewodnia? Pytania te potrącają o całą teorję, o całą rację bytu poezyi lirycznéj i trzeba zdać sobie z nich sprawę.

Otóż najpierw nie idzie tu wcale ani o tendencją, ani o moralność, ani o jakąś ideę. Poeta liryczny nie jest bajkopisem, żeby zwrotki jego koniecznie na sens moralny wychodzić miały. Rzecz tę całą należy brać bardzo po prostu. Słysząc piosenkę natrafiamy na wrażenie, na uczucie, na obrazek z duszy, lub świata, który nam poeta daje. Jeżeli czytając, lub słuchając odczujemy z nim razem; jeżeli poznamy od razu, bezpośrednio, że to uczucie lub obrazek są prawdziwe, są ludzkie; jeżeli się nam podobają i ucieszą nas; wtedy możemy powiedzieć, że są piękne — i oto jest krytyka. Rozmaitość gustów i upodobań nie stanowi tutaj trudności. Lubo każdy ma swój gust osobny, jednak jest pewna skala, pewien poziom wspólny, wytworność gustu zależy od stopnia ukształcenia — innych pieśni potrzebuje dziecko natury, innych człowiek cywilizacyi.

Potrzeba wrodzona, odtworzenie i poczucie piękna, odnalezienie siebie i warunków wewnętrznego życia, w utworach poezyi lirycznéj, oto są źródła ich narodzin i ich bytu. Piosenka każda jest to jakoby jedno drgnienie i promienny błysk duszy, jestto jakoby piórko z tych skrzydeł, na których człowiek ze zamętu, zgrzytu i ciemności codziennego życia ku ideałom, to jest ku prawdzie wzlatywać potrzebuje. A niema człowieka bez ideału, chyba, że poślubił niecnotę, lub spadł między zwierzęta; nie ma człowieka, któryby nie mógł powtórzyć za Schillerem: *„auch ich war in Arkadien geboren“*.

Racją bytu mają więc pieśni po prostu w tém, że są — one są, bo są — bo to leży w naturze ludzkiéj, jest jéj szlachetnym, przyrodzonym przymiotem, że poezja, że sztuki piękne, że ideały, słowem, że prawda promienieje dla niéj. I potrzebuje człowiek kąpać się w tém słońcu, bo inaczéj byłby jako bryła, która istnieje i zmienia się bezwiednie na mocy praw nadanych, bez czucia i wiedzy, bez przyjemności i goryczy, bez upadków i bez uniesień! Pieśni są, bo są, tak samo jak są kwiaty, albo świecące po lesie świętojańskie gwiazdki — lubimy patrzeć na nie, choć nie wytłómaczymy na co one są, jaki ich pożytek lub cel. Istnienie ich sprawia nam przyjemność, pragniemy téj przyjemności, pragnienie to jest naszą potrzebą i musi znaleść swoje zadowolenie. Jak łąka w kwiaty, tak dusza ludzka ubarwia się w pieśni. Potrzeba, żebyśmy w pieśni odczuli prawdę, że wyraża ona prawdziwy stan duszy, lub wrażenie obrazami zewnętrznego świata wywołane — a wtedy nie oglądajmy się już więcéj, za jakimś dalszym sensem; boć przecie nie może być lepszego sensu jak prawda. A jeżeli pieśń, i w ogóle sztuki są posiewem prawdy, to im przecież pożytku i zasługi odmawiać nie można — nawet w wieku panowania maszyn i giełdy. Owszem dzisiaj mniéj, niż kiedykolwiek, bo zwykły tryb życia mniéj nas dzisiaj prawdą darzy, a więcéj zabrudza, zagłusza i rozdrabnia. Skupić się w sobie, orzeźwić i spojrzeć daleko, trudniéj nam dzisiaj jak kiedykolwiek; więc błogosławmy poezyi, błogosławmy sztukom, że nas ratują — często mimo naszéj wiedzy i uznania.

One robią swoje, wywierają swój podniosły wpływ, chociaż tłumy hołdujące złotemu cielcowi albo umęczone gonitwą za codziennym chlebem nie są w stanie zastanowić się nad tém. I kto wie nawet, czy nie najwięcéj zyskują na poezyi i sztukach ci właśnie, którzy gadają owe głupie frazesa: poeta kłamie, udaje, sztuka jest złudzeniem, igraszką, zabiciem czasu itp. Ani wiedzą, że bez ich woli łaska na nich spływa z obecności sztuk i łączności ich z życiem; że bez téj łaski zdziczeliby i stali się niemożliwemi w społeczeństwie, które bądź co bądź nie samym chlebem żyje!

Przypatrując się dzisiejszému społeczeństwu, widząc poetów, artystów idących swoją drogą, a całe tłumy drogą odmienną; widząc jak rzadką i chwilową jest styczność pomiędzy nimi — trudniéj nam odszukać i sprawdzić powyższe uzasadnienie i uświęcenie poezyi i sztuk. A jednak cóż to jest, że tak wszyscy spieszymy do teatru? że chłopiec od szewca zarówno jak ajent giełdowy idąc ulicą wygwizduje ulubione melodje z oper? że i najuboższy człowiek stawia pomnik na grobie drogich sobie osób? że mieszkania nasze i ogrody ozdabiamy w obrazy i rzeźby? że zachwycamy się piękną postacią i obliczem? że uważamy na elegancją ubrania? że towarzystwa w salonach bankierów i polityków uganiają się za muzyką i poezją? Są to wszystko oznaki, że bez tych warunków byłoby życie jałowém, mechanicznem, że poezja i sztuki są nam konieczną potrzebą, niebieską rosą; że są nam arką przymierza między wytartą powszedniością, a urokiem świeżéj, czystéj prawdy; że są wyrazem wszystkiego tęgo, co jest w człowieku lepszém i wyższém! U Greków widzieliśmy ten ścisły związek poezyi z życiem i do pojęcia o właściwości sztuki dochodzimy tutaj drogą historycznego poglądu. Do tych samych zapatrywań dojdziemy również rozważając sztukę polską ze stanowiska obywatelskiéj służby, oceniając znaczenie poezyi naszéj, charakter i zasługi naszego malarstwa w związku z potrzebami i z położeniem narodu *).

Po téj „obronie“ trzeba nam znowu nawrócić do szczegółu, do naszego przedmiotu — poezyi lirycznéj. —

---

*) Patrz „Artur Grotger — ustęp z dziejów sztuki polskiéj“.

Anatomicznie, według formuł szkolnych, pieśni krająć się nie dadzą. Jest to, jak gdyby piasczysty wiater i deszcz zamazał świeży puch kwiatu i koronę jego połamał. Poeta, jest jako słowik, który sobie śpiewa w cierniowym krzaku — a słuchacz powinien być jak pszczoła — zatrzymać się na piosence, jak ona na kwiatku, zaczerpnąć sobie rosy i miodu i rozradować duszę; a zarówno pogodny, jak i smutny ton piosenki jest dla duszy biesiadą, bo oba są jéj dziećmi — a dobra matka wszystkie dzieci kocha.

Chociażby więc piosenka była najosobistszą, wywołaną najdrobniejszą, przemijającą przygodą — to jednak jeżeli tylko z głębi duszy ludzkiéj wypłynęła i jest zwierciadłem prawdy palącéj się w piersiach poety, to wtedy odnajdzie w niéj słuchacz czy to siebie, czy drugich, w ogóle człowieka — i utwór osobisty, prywatny, staje się przez to powszechnym i trwałym: bo źródłem jego nie jest urojenie, ale wewnętrzna rzeczywistość.

Nie dosyć jest atoli wyrazić prawdę ot tak sobie np.: „ja kocham, ja uwielbiam cnotę, ja brzydzę się zbrodnią“... nie daje to jeszcze poezyi. Prawda, mowa bogów wymaga stosownego tonu, świątecznéj szaty. Nie jest to codzienny chleb, ani rzemieślnicza robota umieć pokazać prawdę i dzieje duszy w ich właściwém świetle. Słuchacz musi je oglądać dotykalnie, w obrazie, w postaci, barwy obrazu muszą odpowiadać uczuciu, wdzięk i potęga słów muszą harmoniować z myślą — i dopiero te dwa warunki: bogata treść, wcielona w wytworny kształt, dają poezją, dają sztukę; a na to trzeba talentu, trzeba natchnienia!

(Ciąg d. nast.)

JANOWI MATEJCE.*)

Bo kto goryczy nie znał ni razu,
Nie będzie wpuszczon do nieba od razu.
Dziady.

Dziś jesteś smutny, boisz się przyszłości,
Więc wyrzuć smutki na świat — obrazami,
Na dzieje nasze skieruj prąd żałości
I zapłacz pęzlem — nie samemi łzami.

Zapłacz — lecz silnie, by Ci lud zawtórzył,
Że dawna siła tak już w nim zmartwiała,
Że się strop dziejów tak silnie zachmurzył,
Że nam wyrzuca niemoc przeszlość cała.

Duch twój — twym pęzlem, karton — przeszłość nasza,
Olbrzymi zakres na ścieżkę żywota;
Lecz przykrość żadna niech cię nie ustrasza,
Kto wątpi — tonie, gdy nim burza miota.

Zresztą cóż za dziw — że Cię los nie pieści,
Że poniewiera Twego życia rankiem —
Ja Cię objaśnię — lecz stłum żal niewieści;
„Kto kocha przeszłość — przyszłości kochankiem“.

Dzisiaj dla Ciebie szczęście złym jest druchem,
Bo ono wtedy dopiero Ci błyśnie,
Gdy martwą przeszłość tak ożywisz duchem,
Że z niéj zdrój życia dla żywych wytryśnie.

Niech wstaną z martwych — naszych dziadów dziady,
I z Twoich płócien — pokarcą potomków,
Niech wyjdą na świat, jak bojowe zwiady,
By siłą wspomnień wzmocnić swoich ziomków.

A gdy się takie pojawią postacie
Pod Twoją ręką, pęzlem i natchnieniem,
Rzekną do ludzi „czyli go nie znacie,
Wszak on nas wtórém obdarzył istnieniem?“

I lud się spojrzy pierwszy raz na Ciebie,
Ty pierwszą radość poczujesz w swéj głębi —
I tyle szczęścia, ile go jest w niebie.
I nic téj chwili w tobie nie wyziębi.

Dla takiéj chwili przecież cierpieć warto,
Warto pracować w bólu i w ukryciu,
Bo droga szczęścia tylko tym otwartą,
Których cierpienie nie ugięło w życiu.

Więc raźno naprzód — z siłą i z ufnością,
Chociaż wędrówka będzie przykrą, długą,
Siebie i losy trza zwalczać stałością,
By umrzeć władzcą, choć się żyło sługą.

St. Gebułtowski.

*) Wiersz ten (wraz z innemi) udzielony nam łaskawie z pozostałego zbioru poezyj po śp. ks. Stanisławie Giebułtowskim, zmarłym zawcześnie dla kraju, kościoła i literatury — pisany był jeszcze w r. 1856 w dzień imienin artysty, którego przyszłość proroczo prawie już wtedy przeczuwał poeta.

PODRÓŻNY

(POWIEŚĆ KAROLA DICKENS)

przełożyła z angielskiego *M.*

(Dokończenie.)

Był cmentarz za miastem, a przechadzka, którą Anglik tego samego dnia tam odbył, nie wpłynęła bynajmniéj korzystnie na jego opinją o sentymentalności mieszkańców fortecy Vanhanowskiéj; znalazł on tam znowu wiele rzeczy z jego stanowiska arcydziwacznych, którychby nadaremnie po całéj Anglii szukał. Rozmaite

floresy i ozdoby w kształcie serc i krzyżów drewnianych lub żelaznych, któremi ubraną była ziemia, przypominały mu przygotowania do ogniów sztucznych, które dopiero o zmroku zapalić się miały. Tyle tam było wieńców po grobach z napisem „drogiéj matce, kochanéj córce, ojcu, siostrze, przyjacielowi“. Wieńce te przedstawiały najrozmaitsze stopnie starania i upadku, był tam wieniec złożony zeszłego dnia o świeżéj barwie i woniejący kwiatem, i wieniec zeszłoroczny, obecnie zeschła garstka słomy. Wkoło grobów były małe ogrody i groty, rozmaite co do smaku, przyozdobione roślinami, muszlami, figurami z gipsu i urnami z porcelany. Tak wiele tam było złożonych pamiątek, które pomimo najściślejszéj uwagi trudno było odróżnić od wielkiéj tacy, na któréj namalowany był mężczyzna lub kobieta z ogromną chustką od nosa, oparci pogrążeni w głębokim żalu i niezmiernym bólu o urnę bardzo bogatą. Wiele żon co przeżyły mężów, zapisały na ich grobach swe imię i nazwisko, zostawując miejsce próżne dla daty dnia, w którym same tam spoczną strudzone życiem, wielu mężów tę samą cześć swym zmarłym żonom oddało, a wieluż ich było co już od lat wielu nowe małżeństwo zawarli! Wiele tam było rzeczy, coby się obcemu lichém tylko zwierciadłem wydawać musiały, gdyby mu się nie nasuwała uwaga, że nawet najlichszy kwiatek papierowy na najuboższéj garstce ziemi złożony, leżał tam nie tknięty żadną szorstką ręką, lecz więdnał i ginął jak jaka rzecz święta.

— Nic tu nie przypomina uroczystość śmierci, byłby Anglik powiedział, gdyby mu się spostrzeżenie wspomnione nie było nawinęło, rozrzewniając go i odwołując się do jego czucia. Wyszedł więc w milczeniu. — Ależ ci ludzie, potwierdził, jak gdyby dla odwetu kiedy był za murami cmentarza, ci ludzie są bardzo sentymentalni.

Jego droga gdy wracał, prowadziła koło miejsca, gdzie się odbywały ćwiczenia wojskowe. Tam spostrzegł kaprala uczącego młodych żołnierzy jak na drodze do sławy powinni puszczać się przez wodę za pomocą lin i sam dla ich zachęcenia spuścił się z wysokości i biegał z jakie sto kroków dla dobrego przykładu, tam spostrzegł również małą Bebelcię siedzącą na miejscu podwyższonem, wysłaném zapewne staraniem kaprala, i patrzącą z szeroko rozwartemi oczyma na to wszystko jak mały ptaszek o piórach niebieskich z białą główką.

— Gdyby to dziecko umarło, pomyślał Anglik, odwracając się i idąc daléj, jestem przekonany, że kapral, który względem niéj takiego głupca ze siebie robi, zapewneby tacę i wieniec złożył na jéj grobie, na owym dziwacznym cmentarzu. — Pomimo tego jednak patrzywszy oknem przez dalsze dwa dni, Anglik wyszedł z rana na rynek kiedy kapral przechadzał się tam z dzieckiem, zdjął kapelusz przed kapralem, co go nie mało kosztowało przezwyciężenia, i powiedział mu „dzień dobry“.

— Dzień dobry panu.

— To dość ładne dziecko — rzekł Anglik biorąc ją pod brodę i spoglądając w jéj zdziwione niebieskie oczy. —

— Panie, to jest bardzo ładne dziecko — poprawił go kapral z przyciskiem.

— I dobre? pytał Anglik.

— Bardzo dobre, biedne dziecko.

— Ha! — Anglik się schylił i głaskał ją po twarzy dość niezgrabnie, jak gdyby się obawiał, że sobie ubliża. A cóż to za medalik nosisz na szyi moja mała?

Bebela nic odpowiedziała nic, kapral więc posłużył za tłumacza.

— Pan ci się pyta, co to jest Bebelciu?

— To Matka-Boska — mówiła Gabriela.

— A któż ci to dał? — spytał Anglik.

— Teofil!

Dziecko rozśmiało się głośno, wesoło i serdecznie poskładało tłuste rączki i tupało nóżkami o kamienny bruk rynku.

— On nie zna Teofila, on zapewne nikogo nie zna, nic nie zna. Późniéj objęła kolano towarzysza prawą rączką, oparła o nie twarz i ucałowała je.

— Pan zapewne Teofil? — spytał Anglik kaprala.

— Tak jest panie.

— Pozwól pan — Anglik uścisnął serdecznie jego rękę i poszedł, lecz gniewało go to nie mało, że pan Mutuel wietrzący się właśnie w słońcu, spotkał go i zdjął czapkę z wyrazem zadowolenia; mruknął więc we własnym języku oddając ukłon. — Co tobie do tego ty skorupo włoskiego orzecha? —

Minęło kilka tygodni, a Anglik spędzał niespokojne wieczory i gorsze jeszcze noce, doświadczając bez ustanku, że wspomnione już okna pamięci i okna miłosierdzia brząkały o zmroku, i że je bardzo licho gwoździami zbił. Jego znajomość z kapralem i z Bebelą postąpiła była, to jest, brał Bebelę pod brodę a kaprala za rękę, ofiarował Bebelci grajcary a kapralowi cygara, nareszcie nawet zamienił fajki z kapralem, i pocałował Bebelę, ale czynił to wszystko bardzo nieśmiało i gniewał się, ile razy wietrzący się pan Mutuel go spotykał, ile razy się to wydarzyło, mruczał po angielsku: „Znowu jesteś mi w drodze skorupo orzecha włoskiego, co tobie do tego?“

Jednem słowem, najgłówniejszem zajęciem w życiu Anglika, stał się kapral z Bebelą i gniew nad ciekawością pana Mutuel. Jednostajność jego życia przerwaną została ogniem, który jednéj burzliwéj nocy wybuchnął w nocy w mieście, uderzono w bębny; wiadra leciały z ręki do ręki, Anglik okazał się wielce użytecznym. Wkrótce po tym wypadku kapral nagle zniknął.

Równie nagle zniknęła i Bebela.

Widziano ją parę dni później aniżeli kaprala, mocno zaniedbaną co do mycia i czesania, nie odpowiedziała nic na zapytania Anglika, wyglądała bardzo zasmucona i uciekła. Zdawało się, że uciekła na zawsze, a rynek opuszczony i smutny leżał pod jego oknami.

Anglik nieśmiały i odludny nie śmiał nikogo zapytać, lecz patrzał z okien frontowych i z okien bocznych, chodził po rynku, wstąpił do oficyny chirurgicznéj pogwizdując i nucąc, jak gdyby nikogo nie szukał, aż tu jednego dnia pan Mutuel spotkawszy się z nim oko w oko, zbliżył się do niego, już o dwanaście kroków oddalenia zdjąwszy czapkę i trzymając ją w ręku.

Anglik już miał mruknąć: „Co tobie do tego", lecz na czas się wstrzymał.

— A cóż to za smutny wypadek, co to za nieszczęście! rzekł pan Mutuel, kiwając siwą głową swoją.

— O czém mowa panie Mutuel?

— Nasz biedny kapral, niestety nasz biedny kapral! —

— Cóż się stało z nim?

— Nic pan nie wiesz?

— Nic.

Przy ogniu. On był tak odważny, tak usłużny — ah! aż nadto odważny, aż nadto usłużny!

— Do djabła! przerwał Anglik niecierpliwie, przepraszam — chciałem — nie jestem] przyzwyczajonym mówić po francusku, mów pan, proszę.

— Spadająca belka.

— Dla Boga! wykrzyknął Anglik, słyszałem, że prosty żołnierz został zabitym.

— Nie, to był kapral, ten sam, nasz uczciwy kapral, ukochany od wszystkich kamratów. Pogrzeb był wzruszający, rozrzewniający. Panie Angliku, widzę że masz łzy w oczach.

— Co tobie do tego?

— Panie Angliku, czczę takie uczucia, żegnam pana z najgłębszém uszanowaniem i nie chcę dłużéj być świadkiem natrętnym jego wspaniałomyślnych uczuć!

Pan Mutuel, człowiek pełen galanteryi w każdéj nitce swojéj bielizny, któréj białość przy końcu tygodnia poczynała już być podejrzaną, pan Mutuel, który słusznie mógł twierdzić, że każde ziarnko tabaki w jego małéj niepozornéj tabakierce cynowéj stało się własnością człowieka wyposażonego najwyższym stopniem galanteryi, pan Mutuel ukłonił się i odszedł z czapką w ręku.

— Nie spodziewałem się tego, rzekł Anglik przechadzając się przez parę minut, i nadymając nos, kiedy byłem na cmentarzu. Muszę tam zajrzeć.

Poszedł tam prosto, zatrzymał się w bramie, rozmyślając, czy się ma spytać, gdzie był grób, lecz mniéj niż kiedykolwiek skłonny do rozmowy, pomyślał — już ja tam coś znajdę, co mi grób wskaże.

Szedł więc wolnym krokiem po ścieżkach szukając grobu kaprala, oglądając się pomiędzy krzyżami, sercami, obeliskami, kolumnami i nagrobkami, czy tam nie było świeżego grobu. Uderzyło go dopiero w téj chwili, jak liczne były groby po cmentarzu; poprzednio za pierwszą bytnością, dziesiątéj części ich nie był widział, a kiedy chodził i szukał przez czas dłuższy, coraz nowe odkrywając szeregi grobów, mówił sam do siebie: Zdaje mi się prawie, że wszyscy pomarli oprócz mnie.

— Nie wszyscy atoli pomarli byli, żywe dziecko leżało na ziemi cmentarza. Znalazł rzeczywiście coś, co mu wskazywało grób kaprala, a to coś była Bebela.

Kamraci kaprala z taką gorliwością pracowali byli koło miejsca ostatniego spoczynku jego, że grób wyglądał już w téj chwili jak ładny ogródek. Na zielonéj darni leżała Bebelcia opierając na niéj policzek; prosty, niemalowany krzyż drewniany osadzony był na grobie, a krótkie ramię jéj obejmowało ten krzyż, jak niegdyś obejmować zwykła szyję żołnierza, co tam spoczywał; mała chorągiewka powiewała z krzyża (flaga francuska), i wieniec z wawrzynów był na nim zawieszony.

Anglik zdjął kapelusz i stał długo w milczeniu, potem nakrył głowę, schylił kolano i objął uśpione dziecko.

— Bebelciu, moje dziecię!

Otwarła oczy wilgotne jeszcze od łez i zdawała się być przelękniona, lecz poznawszy go, została spokojnie w jego objęciu i patrzała ostro na niego.

— Tyś nie powinna tu leżeć moje dziecię, musisz pójść ze mną.

— Nie, nie — nie mogę opuścić Teofila, ja chcę dobrego, kochanego Teofila!

— Pójdziemy i poszukamy go Bebelciu, pójdziemy i poszukamy go w Anglii, pójdziemy i poszukamy go u mojéj córki Bebelciu.

— A czy go tam znajdziemy?

— Znajdziemy lepszą część jego. Pójdź ze mną ty biedne, opuszczone dziecię. Bóg jest mi świadkiem, mówił Anglik przytłumionym głosem, dotykając się darni, która pokrywała pierś uczciwego żołnierza, że przyjmuję wdzięcznie opiekę nad nią!

Droga była daleka z cmentarza, dziecko nie mogło ją odbyć bez pomocy, usnęła napowrót przenosząc swoje objęcie do szyi Anglika. Patrzał się na jéj zużyte, spylone trzewiczki, nóżki opuchłe i twarzyczkę znużoną i wnioskował, że tam codziennie chodziła. Miał grób opuścić z uśpioną Bebelą na ręku, lecz zastanowił się i spojrzał po nim w zadumaniu, i spojrzał w zadumaniu po grobach do koła.

— Jest to niewinny zwyczaj tych ludzi, rzekł nareszcie Anglik wahając się, zdaje mi się, że mi będzie miło zastósować się do niego, wszak nikt nie widzi.

Staranny, żeby Bebelę nie przebudzić, poszedł do

bramy cmentarza, gdzie sprzedawano rozmaite pamiątki i kupił dwa wieńce. Jeden niebieski z białém, błyszczący od srébra z napisem: „Przyjacielowi“; drugi skromniejszy, czerwony, czarny i żółty z tym samym napisem — potém wrócił do grobu, klęknął, przycisnął okazalszy wieniec do ust dziecka, i jéj rączką zawiesił go na grobie, drugi sam tam złożył. Wieńce te prawie cały grób zacieniały: przyjacielowi! przyjacielowi! Anglik się mocno rozgniewał, kiedy nosząc Bebelę na ręku, spostrzegł z daleka na rynku pana Mutuel przewietrzającego czerwoną wstążeczkę u surduta, zadał sobie wiele pracy, by uniknąć spotkania ze szanownym Mutuelem, i wkradł się do swego mieszkania jak człowiek prześladowany za zbrodnię od policyi. Przybywszy szczęśliwie i niepostrzeżony, ubrał dziecko w ten sam sposób, jak o ile sobie przypominał, kapral zwykł czynić, dał jéj jeść i pić i położył ją na swojém łóżku. Potem poszedł do oficyny chirurgicznéj, a po krótkiéj rozmowie z chirurgiem i jego żoną, w ciągu któréj odwoływał się do swojéj sakiewki i karty wizytowéj, powrócił nosząc całą własność Bebeli w tak malutkiém zawiniątku, że ono prawie zniknęło pod jego pachą.

Nie zgadzałoby się było z jego charakterem i zwyczajem, ażeby Bebelcię otwarcie był zabrał ze sobą, przyjmując komplementa lub powinszowania wskutek tego wydarzenia. Nazajutrz więc skrycie i ukradkeim tłumoki swoje wyniósł z domu i w ogóle zachował się tak, jak gdyby miał zamiar potajemnie uciec, z tą tylko różnicą, że popłacił wszystkie długi w mieście, i zostawił list pożegnalny do pani Bomlet, zamiast wypowiedzenia ofiarując jéj odpowiednią sumę pieniężną. O północy miał pociąg odchodzić, i z tego pociągu chciał korzystać, by razem z Bebelą poszukać w Anglii Teofila i córkę swoją, któréj przebaczał.

O północy przy świetle księżyca Anglik wykradał się jak dobroduszny morderca, trzymając zamiast puginału Bebelę w objęciu. Rynek był spokojny, spokojne bezludne ulice, kawiarnie były pozamykane, śpiący stróż nocny, śpiący żołnierz na straży stojący. Anglik zostawił za sobą rynek, ulice i miasto, schodząc przez fortyfikacje, któremi je Vauban do koła był otoczył. Cień pierwszego ciężkiego łuku i furtki padł na niego, a on pozostawił go za sobą, cień drugiego ciężkiego łuku i furtki padł na niego, a on pozostawił go za sobą; po krokach jego tętniących po pierwszym moście spuszczonym nastąpiły kroki bardziéj przytłumione, po krokach jego tętniących po drugim moście spuszczonym, nastąpiły znowu kroki bardziéj przytłumione; potem minął fosy i minął wodę płynącą, w któréj odbijało się światło księżyca. A gdy tak zwolna postępował, rozjaśniały się również i znikały ciemności, w których pogrążoną była jego dusza, przebrzmiewały odgłosy tętniące w jéj głębi, rozdzielały się mgła i chmury, co ją tak długo pokrywały, a on odetchnął swobodnie. O wy Vaubanowie własnego serca co je otaczacie potrójnemi wałami i fosami, zamkiem i łańcuchem, i mostem do spuszczania, zwalcie te mury obronne, zrównajcie je z prochem co wszystko pochłania, zanim nadejdzie owa noc wieczna, gdzie żadna ręka nie ruszy się więcéj do pracy!

Wszystko poszło szczęśliwie, wsiadł do próżnego wagonu, gdzie Bebelę mógł położyć na siedzeniu naprzeciwko siebie i przykryć ją od stóp do głów swoim płaszczem. Właśnie skończył był tę pracę i opierając się z wielkiém zadowoleniem, ze swego siedzenia patrzał się na nią, kiedy z okna wagonu spostrzegł coś bardzo ciekawego: migała się tam w świetle księżyca mała cynowa tabakierka. Wychylił głowę z okna i zobaczył między kołami, szynami i popiołem pana Mutuel, jego czerwoną wstążeczkę i wszystkie inne przybory.

— Przepraszam pana, panie Angliku — rzekł pan Mutuel wyciągając tabakierkę do góry, bo wagony stały na znaczném podwyższeniu, gdzie z trudnością sięgał, ale ja wiecznie będę czcił tę tabakierkę, jeżeli wspaniałomyślna ręka pana zechce wziąść z niéj szczypkę przed wyjazdem.

Anglik nie pytając tym razem starca co jemu do tego, wyciągnął rękę z okna wagonu, by zadosyć uczynić jego życzeniu, uścisnął dłoń jego i rzekł:

— Bądź pan zdrów panie Mutuel, niech ci Bóg pobłogosławi.

— Panie Angliku, niech panu Bóg pobłogosławi — krzyknęła pani Bomlet, która również tam stała. Bóg ci pobłogosławi szczęściem dziecka, którém się opiekujesz i szczęściem własnego dziecka, do którego powracasz. Bóg ci pobłogosławi we własnéj pamięci. A to przyjm odemnie.

I ledwie, że mu wystarczyło czasu wziąść bukiet z jéj rąk, bo pociąg ruszył w téj chwili. W koło bukietu owinięty był papier z napisem: „Cześć Przyjacielowi Opuszczonych“! napis był zapewne dziełem siostrzeńca, który pisał jak anioł.

— To nie źli ludzie Bebelciu! rzekł Anglik usuwając trochę płaszcz z jéj śpiącéj twarzy, by ją ucałować, tylko że są zanadto sentymentalni! Lecz sam w téj chwili był zbyt sentymentalnym, by módz wyrzeknąć to słowo — słyszano tylko łkanie, i ujechał kilka mil drogi przy świetle księżyca, trzymając rękę przed oczyma.

O zachowaniu wzroku

przez

Dr. Wojciecha Wolka.

(Dokończenie.)

Ktoby chciał wprost na słońce spojrzeć, może przypłacić śmiałość tę ślepotą.

Mieszkańcy miast narażeni jesteśmy częściej na choroby oczu, niż mieszkający na wsi, bo prócz pyłu, kurzu i piasku ulicznego, który nam oczy zasypuje, trapi nas nie mało światło odbite od pobielanych lub jasno malowanych domów.

O usunięciu téj niedogodności u nas jeszcze nic nie pomyślano, w miastach wielkich za granicą, gdzie porządek, czystość i względy hygieniczne na pierwszym stoją planie, prawie nigdzie nie natrafimy na domy białe lub żółte, lecz wszystkie są szare lub szaro-ciemne, co dla oczu prawdziwém jest dobrodziejstwem.

W celu złagodzenia jaskrawego światła słońca, czy to wprost do pokoju wpadającego, czy też odbitego, używamy firanek lub storów, lecz często z niestósownych barw, białe, lub w pasy pąsowe, lub inne pstre.

Aby zaś firanki lub story odpowiadały celowi, to powinny być jednostajne, najlepsze szare albo niebieskie, fioletowe, a w najgorszym razie zielone.

Udowodnioném jest, że z barw składających światło słoneczne, najbardziéj razi żółta, a potem czerwona — tych więc barw przy użyciu storów unikać należy, zielona firanka zaś przepuszcza kolor żółty, więc zawsze nie tak przyjemne sprawia uczucie, jak niebieska, która to barwa dla oka najłagodniejszą jest i najprzyjemniejszą.

W tém miejscu stósownem będzie wspomnieć słówko o noszeniu welonów.

Jest to zwyczaj wschodni i w innym celu używany, tam bowiem kobieta będąc niejako niewolnicą męża, musi zupełnie twarz swoję zakrywać przed obcym wzrokiem.

U nas zaś inaczéj — welony bowiem służyć mają do łagodzenia jaskrawego światła słonecznego, padającego wprost na twarz niczém niezacienioną.

Kapelusz męzki czy też czapka z daszkiem chroni mężczyzn przed promieniami słońca utrzymując oczy w cieniu.

Strój głowy kobiet nie ma zaś tych korzystnych warunków, dla tego użycie welonów jest potrzebne a nawet konieczne.

Z powodów zaś, o których wyżéj wspomniałem, powinny być te chroniące zasłony niebieskie lub fioletowe, szare lub czarne, i to z materyi jednostajnie utkanéj i dosyć gęstéj, lecz bez żadnych deseniów, bez muszek tak zwanych, nie mówiąc już o jakich świecidłach wdzierganych w tę tkaninę, które poruszając się ustawicznie przed okiem, sprawiają migotanie światła, co bardzo wzrok drażni i osłabia.

W ostatnich czasach wyrabiają okulary niebieskie i szare, duże wypukłe, jak muszle w celu ochrony oczu od jaskrawego światła.

W istocie noszenie takich szkieł sprawia wielką ulgę i przyjemność.

Nie trzeba zaś dać się téj przyjemności uwieść i używać ich zawsze, nawet gdy pochmurno, albowiem oko odwyka od zwykłego światła, które go potem nieznośnie razić będzie.

Mówiąc o świetle dzienném czyli słoneczném, wypada mi nakoniec wspomnieć o oświetleniu sztuczném.

Zajęcia nasze, zwłaszcza dzisiejsze wymagania społeczeńskie są tak rozliczne, że długość dnia aż do zachodu słońca nie wystarcza na wszystkie załatwienia, jakie co dzień ukończyć trzeba, musimy się więc posługiwać sztuczném oświetleniem, które o tyle będzie lepszém, o ile zbliżać się będzie do dziennego światła.

Wziąwszy umiejętnie pod rozbiór światło dzienne, to się okaże, że nie jest zupełnie białém, jak to powszechnie mniemamy, lecz, że jest znacznie czerwonawe, podobnie, jak światło gazowe żółtawém. Czysto białém jest tylko światło elektryczne.

Wiemy zaś z poprzedzającego, że barwa żółta najbardziéj drażni oko; — oświetlenie więc sztuczne będzie dla oka tém korzystniejsze i przyjemniejsze, im mniéj będzie żółte, należy zatém oceniać takowe nie według jasności, lecz według ilości żółtéj jego barwy.

I tak oceniając wedle tego, otrzyma pierwsze miejsce płomień smolówki, jako najżółciejszy, potém następuje świeca łojowa, daléj światło lampy olejnéj, daléj świec stearynowych, następnie gaz, a naostatku nafta.

Najkorzystniejsze więc dla oka będzie światło nafty, jako najmniéj żółte, płomień zaś gazu dotychczas używanego, zajmuje poślednie miejsce.

Niedawno temu dwaj Polacy bawiący w Brukseli, mianowicie Sabiński i Jarosław Paszkowski wynaleźli tani i łatwy sposób otrzymywania gazu świetlanego z nafty, który oczywiście dawać będzie najlepsze światło.

Sprawa ta jest już przez pierwsze powagi naukowe w Brukseli należycie ocenioną i pochwaloną, a dla naszego kraju bardzo ważną, gdzie takie obfite źródła nafty się znachodzą.

Mówiąc o rozmaitém sztuczném oświetleniu, musimy także uważać na jego siłę ogrzewania, szczególnie, jeżeli się pracuje w bliskości płomienia.

W tym względzie płomień gazowy więcéj ogrzéwa, niż taka sama wielkość płomienia kamfinowego.

Nie należy zatém zbliżać oczu do płomienia, który rozpala powieki i wysusza, co zwłaszcza w stanie kataralnym oczu jest bardzo szkodliwém i nieznośném.

Bardzo ważném dla oka jest jednostajne i spokojne światło, jako też jego kierunek.

Każdy płomień jest niestały, tj. drga i migoce, a ruch ten sprawia bądź powietrze otaczające, bądź sam materjał palny, np. płomień gazu migoce się bardzo, gdy się wolno pali, mniéj, gdy ujęty jest w cylinder szklanny, wielką tu także gra rolę zanieczyszczenie gazu powietrzem lub parą wodną.

Migotanie światła jest dla oczu nieznośném, nie można téż długo wytrwać przy niém, szczególnie zajmując się jaką delikatną pracą.

W celu złagodzenia jaskrawego światła, czy to gazowego czy naftowego, używamy kul szklannych, mlecznych, które zakrywając rażący płomień, rozprowadzają na wszystkie strony jednakie światło, i mają jeszcze tę dogodność, że chronią oczy od zbytecznego ciepła lamp.

Kule przeźroczyste są więc niestósowne, bo przez nie widzimy cały płomień jaskrawy, a światło wcale nie jest łagodniejsze.

Najważniejsza okoliczność, na którą szczególny nacisk położyć muszę, jest kierunek w oczy wpadającego światła, czyli wyraziwszy to innemi słowy, jak należy ustawić lampy, by dla oczu jak najkorzystniéj zużytkować światło.

W tym względzie najpraktyczniéj jest naśladować przyrodę, która w tym przestworze olbrzymim w niezmiernéj wysokości ma lampę słoneczną z niewyczerpaném światłem.

To więc wskazuje nam, że światło z góry wpadające jest najkorzystniejszém, czy to dzienne czy téż sztuczne.

Dla tego wszelakie źródła sztucznego oświetlenia mają być tak ustawione, by światło było powyżéj głowy, a oczy powinny być w cieniu.

A więc czytając, pisząc, lub przy innéj podobnéj pracy należy się w dzień tak odwrócić od okna, a wieczór od lampy, by przedmiot jak najlepiéj był oświecony, a oczy, by były w cieniu.

Lampa nie może być umieszczona zanadto wysoko, albowiem wtedy przedmioty np. pismo, które oko dokładnie widzieć musi, będzie oświecone zbyt słabo i niedostatecznie.

Jedynie w salach do towarzyskiéj rozmowy czy pogadanki najstósowniejsze są lampy wiszące — nigdy zaś nie powinno światło stać w równéj wysokości lub niżéj od oczu, bo wtenczas wpada wielka ilość światła bezpośrednio w oczy, razi je i olśniewa, a w takim stanie oczy długo i wytrwale pracować nie mogą.

Dla tego téż podział dziennéj pracy powinien być zastósowany odpowiednio do światła, w dzień należy podejmować prace delikatniejsze, wymagające bystrego i natężonego wzroku, a na wieczór zostawić sobie łatwiejsze i dla oczu znośniejsze zajęcie, np. czytanie natęża wzrok więcéj niż pisanie, pisanie zaś mniéj niż przepisywanie.

Bardzo korzystną dla oczu jest zmiana pracy, np. po dwu lub trzechgodzinném czytaniu pożądaném będzie choćby półgodzinne pisanie.

Wzgląd na oświetlenie jest dla pracy jak pisanie, czytanie, rysunki, szycie itp. bardzo ważnym, lecz przecież nie jedynym.

Siła bowiem oczu ma także swoje granice, więc nie trzeba jéj przeceniać, a gdy uczujemy najmniejsze zmęczenie, należy zaraz odpocząć, pracę porzucić na chwilę, bodaj na kilka minut i przejść się kilka razy po pokoju, zwracając wzrok na przedmioty duże i oddalone.

Te kilka minut opóźnienia, gdyby nawet razem wziąwszy w ciągu dnia jednę lub dwie godzin wyniosły są przecież niczém w porównaniu z korzyścią, jaką się zyskuje na wzroku utrzymując go w bezustannéj sile i bystrości.

Jak żyć?

Nie w pocałunkach i uściśnieniach
Młodości dano śnić,
Nie wiecznie kwilić i wiecznie szlochać,
A serce palić w własnych płomieniach —
Ale ogrzewać piersią i kochać,
To u mnie znaczy żyć.

Gdzie zajdziesz choćby w ręku z bakałem,
Z ust choćbyś słodycz spił?
Młodość przeklęczysz u nóg kochanki —
Pijany nazwiesz ją ideałem!
Lecz gdy zobaczysz dno twojéj szklanki
Powiesz — ot głupiom żył.

Młodość skarbnicą wielkiéj przyszłości,
Boleść jéj kwiatów łzą —
Ale rozkoszy żarem spalona,
Rozpaczą kończy sny o wielkości —
Nic nie ogrzeje u swego łona,
Kwiaty bez rosy — schną.

W ciągłych zawodach z życiem się łamać,
A nie złamanym być —
Cierpieć — lecz czoło podnosić dumnie,
Aby boleści twarzą nie skłamać,
To się młodością nazywa u mnie.
To znaczy u mnie — żyć!

Aleksander.

Jagiellonki polskie w 16. w.

(TOM III.)

przez *Aleks. Przezdzieckiego.*

(Ciąg dalszy.)

Dalszy ciąg trzeciego tomu obejmuje zbiór listów, z których wątek opowiadania naszego wysnuć nam trzeba. Zrobimy tylko uwagę Sz. Autorowi, że wartość połowy tego materjału nie odpowiada wcale kosztom wydawnictwa — często dokumenta te nie mieszczą nic więcéj prócz pozdrowień i zapewnień pamięci. Wystarczyłoby streścić je krótko — a wydać za to z rękopismów inne cenniejsze rzeczy.

Pozostałe królewny Katarzyna i Anna osierociały już najzupełniéj, gdyż i najstarsza siostra Izabella, jakoby ich opiekunka, umarła pod ciężarem owéj rozkoszy węgierskiéj w r. 1550. — Tymczasem na Rzeczpospolitą przyszła ciężka wojna, która też bezpośrednio i na losy królewskich sierot wpłynęła.

Pozyskanie Inflant (ustąpił je i poddał w. mistrz r. 1561) spowodowało wojnę z Moskwą i Szwecją. Król duński rościł sobie także prawa do części Inflant które nabył, brat jego ks. Magnus. Okoliczności te stały się powodem swatów. Iwan groźny w. ks. moskiewski prosił o rękę królewnéj Katarzyny, żądając Inflanty za wiano. Ks. Magnus w tym samym celu starał się o rękę królewnéj Anny. Zyg. August pierwszemu odmówił stanowczo, drugiemu odpowiedź zwlekał, dopóki nie upewni się o woli i umyśle królewnéj.

Królewnom podczas tych zajść upływały lata na uboczu spokojne ale smutne i samotne, w ciszy i pobożności, tak, że nawet obie wpadły w chorobę martwiąc ciało swoje z wielkiego nabożeństwa.

Niebawem pojawiły się swaty z innych stron, gdyż były to partje jedne z pierwszych w ówczesnéj Europie. Król szwedzki Eryk pomimo wojny z Polską orędował za braćmi swoimi Janem ks. Finlandzkim o rękę królewnéj Katarzyny, a ks. Ostrogockim o rękę Anny. Król zezwolił, ks. Finlandzki przyjechał do Gdańska oczekując tam na młodszego brata. Gdy ten jednak z powodu zamieszek wojennych (nieporozumień Eryka z braćmi o Inflanty) przyjechać nie mógł, a o małżeństwie Katarzyny już się wszędzie rozgłosiło, więc za przyzwoleniem królewnéj Anny, która żądała, aby brat szczęścia siostry już daléj nie omieszkiwał, niedbając nic na przyjazd tam tego drugiego książęcia — oddał król siostrę w małżeństwo. A iż nie tusząc o tém weselu, sejm koronny w Polsce na blizki czas złożył, na którym sam być musiał, czasu nie stało prosić na to wesele panów i książąt obcych. Współczesny kronikarz pisze: ...„a iż mu (nowożeńcowi) w tém szczęście tak posłużyło, że tę królewnę, o którą moskiewski wielki na świecie pan mocno prosby czynił, wiele włoskich, niemieckich książąt się pilnie starało, (o jéj świątobliwości obyczajów i piękności urody po wszém chrześciaństwie wielka sława była) przyjść k'temu nie mogli, iż jemu z tak poważném weselem była dana..."

Stracimy teraz znowu z oczu ks. Annę, aby prowadzić dalej wątek przygód i losów Katarzyny.

Wesele odbyło się w Wilnie r. 1562 ze wspaniałością wielką. ...„Tydzień cały wesele ono trwało, kolby, gonitwy, turnieje, niemieckie, usarskie, muzyki tamże i wszelkie trotofile i uczciwości się działy; przy których turniejach tak srogie potkania bywały, że się sami srodze poobrażali, i konie pod sobą pozabijali. — Takie i inne sprawy na weselu znaczyły coś troskliwego a smętnego, jakoż się to potém rychło okazało..."

Państwo młodzi mieszkali w zamku królewskim. Czwartego dnia spisano i oddano wyprawę urzędnikom dworu ks. Finlandzkiego, w obecności osobliwie wysadzonych szacunkarzy, probierży, złotników, hafciarzy itp. Ze spisu tego, który Sz. Czytelniczki zapewne zainteresuje, podamy tu niektóre wyjątki:

Najprzód klejnoty w wartości talarów bitych 107,136. Alspanty z djamentowemi tablicami, bramki z pereł orjańskich, zawicia z tkanic perłowych, łańcuchy, pasy z kamieńmi, biretki z kamieńmi, sobole z kamieńmi, kitliki, alspanty, wyszycia, łańcuchy, czepce, gurgiele, wieńce, zaprawki do włosów, trzeperelle do pięści, ferety ze złota i pereł. Potem idzie obfity spis srebra i jego waga na gwicht krakowski, srebro stołowe, srebro komorne (toaletowe), łaziebne, kościelne. Potem spis szat: złotogłowe, teletowe, łabinowe, aksamitne, atłasowe, adamaszkowe, sukienki spodnie letnie, szaty zwierzchnie, kożuszki, płaszcze, barwy dla panien, pacholąt i karłów....

Opis niektórych sukien nie zawadzi tu przytoczyć dla poznania mody ówczesnéj. Oto np. „Szata telety cielistéj, albo czerwonéj, wzorzystéj w kostki, z jednym bramem szerokim perłowym około dołu; na kształcie (stanie) i na rękawiech takowych bram perłowy, to jest w każdym rękawie trzy bramy szerokie perłowe podłuż, między niemi feretów francuzkich okrągłych jest 70" — albo: „szata opadła adamaszkowa zielona, na niéj bram złotogłowy z czerwonym jedwabiem szeroki u dołu, aksamitem zielonym wzorzysto rzezanym pokryty, sznurkowanie złote na bramie z zielonym jedwabiem"; albo „hazuka ze złotogłowu atlembasu z czerwonym aksamitem, na niéj kwiaty szczotkowate ze srebrem, wyłogi telety czerwonéj nie wzorzyste ze złotem, kitajką czerwoną podszyta".

Widzimy, że były to stroje bogate i barwne, że ubiór kobiecy niemniéj bywał jaskrawy i różnokolorowy jak mężczyzn.

Daléj w spisie idą czapki, pościel jedwabna, kołdry, namioty i łoża, aparaty kościelne, materje niekrojone, rzeczy białe, obicia do pokojów, opony, kobierce, naczynie cynowe, obrusy, naczynie kuchenne, wyprawa konna i wozowa, spis dworu i sług, pań starych i panien, które królewnie towarzyszyć miały.

Świetna była wyprawa i wesele; w kilka dni odjechali nowożeńcy żegnani z płaczem przez królowę, jakby w przeczuciu nieszczęść, które ich niebawem spotkać miały. Podaje nam autor obszerną o tém relacją współczesną, obejmującą wiele ciekawych szczegółów:

Król Eryk szwedzki powziął przeciwko bratu swemu nienawiść z kilku powodów, z pomiędzy których co ważniejsze były te. Posłał on brata posłem do Anglii starając się o królową angielską. Królowa odmówiła, ale za to poseł miał taką wdzięczność w oczu jéj, żeby był snadniéj mógł sobie w tych rzeczach dopomódz — wszakże ważyć się tego nie chciał, lubo mu to i tak do waśni braterskiéj przyczyną było. Powtóre Eryk obawiał się, że brat przez spowinowacenie z królem polskim urośnie w potęgę i zabronił mu tego i wyjazdu.... Małżeństwo brata było dalszą przyczyną waśni i zawziętości.

Przygody morskie i zasadzki nieprzyjaciół spotykały nowożeńców przez całą drogę. W Rydze wsiedli na morze — aliści w nocy tak ciężki mróz uderzył, że i okręt wmarzł i z niemałém niebezpieczeństwem po lodzie oboje uchodzić musieli. Gdy okręt wyrąbano z lodu, obrócili go prosto do Finlandyi, ale ledwie tam przed fortuną doszedł zdziurawiony i na skałach potarty, potłuczony. Księztwo pozostali cztery niedziele w Rydze, puścili się potem lądem; najeżdżali ich wysłani przez brata Szwedowie, sługi opuszczali, a Polacy trzydzieści mil do Rewla pieszo przy nich szli. „A moskiewski kniaź zesłał 5000 ludzi, aby mógł był gdzie przejąć i dostać królewnéj; sam Pan Bóg ostrzegł, że uszedł ręku owego tyrana, nocą i dniem przeskakując mimo ono wojsko nieprzyjacielskie, wielkie niewczasy głody, złe gospody wycierpieć musieli. A tak z pracą i z wielką wagą do Rewla przybył; tam go wzdy do miasta puszczono.... Wszakże jako się jeno na morze z Rewla puścił, wnet gwałtowne wiatry żagle potargały, prawie ukazując niefortunę przyszłą jego. Aż do swéj ziemi się przewiózł: tam też na skałach ledwie dla książęcia i królewnéj jedne sanki nagotowano, wszyscy od morza musieli pieszo iść i swe rzeczy nieść, tak, że do plebana jednego na noc książę z księżną przyjechał... a na drugim noclegu dostatek podwód wszem dano".

Aż stanęli w własném państwie, dopiero ich witano i przyjmowano. „Tamże cały tydzień wesela, tańce, biesiady były dla większéj uczciwości, kilka panien za mąż dano".

Niebawem jednak nadciągła najsroższa burza ze strony zawiści Eryka.

„Mało co po onéj drodze odpoczynku wziąwszy, wnet król Eryk, oną zawiścią prawie zaślepiony, jął nań kłaść kalumnie: jakoby się miał z Królem Duńskim i z Królem Polskim nań zszeptywać, że już dochodziła ona rzecz Książęcia J. Mci od Rad Króla Erykowych, od których był w tém przestrzeżon, jako w wielkiém był od brata zawaśnieniu i niebezpieczeństwie. Przyszło mu pisanie, aby się stawił przed króla Eryka na sejm, jako o wiele rzeczy obwiniony." Książę obawiał się zdrady, nie stawił się — i rozpoczęła się wojna między braćmi, w której ks. Jan oblężony w zamku Hab poddać się musiał. „Gdy się tam z sługami i z państwem swém oném rozstawał, wielki smętek, płacz a żałość między niemi była, bo tam snadnie każdy rozumieć mógł, że na okrutne męki tam mieli być wzięci: jakoż się potem skutkiem to okazało....

A gdy już ku Sztokolmu przypłynął, posłał Eryk do Królewnéj, aby z nim, jako z tym, który winien obrazy Majestatu królewskiego, towarzystwa nie wiodła, a onego acz jéj mężem jest, próżna była, chcąc onę uczciwie do brata ze wszem jéj wniesieniem odesłać, albo chcieli, aby na swéj oprawie wolnie mieszkała; gdzieby tego nie uczyniła musi z nim tak cierpieć srogie więzienie, jakie mu jest naznaczone. Ta cna świątobliwa Pani zdjąwszy pierścień ślubny z palca, na którym był napis: Których Bóg połączył, człowiek nie rozdzieli, wejrzawszy nań z wielkim płaczem, a żałościwém ku Bogu wzdychaniem, przekładając swą wszystką nadzieję w Panu Bogu,.. uczciwą a mądrą i przystojną odpowiedź dała, że jakakolwiek kaźń nań a przygoda przyjdzie, raz to Panu Bogu swemu poślubiła, póki on żyw jest, jego w żadném nieszczęściu nieopuszczać; a tak to jest na miłosierdziu a łasce J. K. M.: ale jéj, pomniąc na swój królewski naród a chrześciańskie wychowanie, inaczéj podle Pana Boga i wszéj uczciwości uczynić nieprzystoi, jedno i w szczęściu i w nieszczęściu jednako się odzywać wierną, stateczną i poczciwą małżonką jego.

Wzięto tedy Książę z okrętu od sług i wszej wczesności i majętności ich, którego ona zostawić niechciała, i na skale ich ostréj oboje wysadzono. Wielki tam smętek a żałosna chwila była, gdy byli od sług i od wszystkich rzeczy swych tak mizernie odsądzeni, a sami na onéj ostréj skale pod żaglem, z którego sobie kotarę uczynili, na srogiem zimnie, wietrze i niewczesności czas niemały cierpieć musieli. Wszakże przecię ten Jurgiepierz*), który był posłan od Króla Eryka na to rokowanie do nich, uczynił na prośbę Królewnéj tę litość: że jéj dwu Polaków, dwie panny, dwie karlice dopuścił wziąść z sobą z okrętu. Tamże na onéj skale knechci,

*) Jurg (Jerzy) Peterson, faworyt króla Eryka.

którzy ich tam strzegli, przez on czas z niemi mieszkali: jaka tam uczciwość być mogła, snadnie się tego każdy domyślić może. Potem ich do Gripsolmu, siedm mil od Sztokolmu wieziono, tamże im więzienie dosyć srogie i tęskliwe, jedno jedną izdebkę małą naznaczono, rzeczy ich, szaty, skarby, klejnoty wszystko zabrawszy; sługi one Polaki mężczyzny osobno na inszą skalę zaprowadzono, którym tam cztery dni jeść niedawano. Onegoż wieczora w nocy one więźnie wszystkie, których było przez cztery sta sług Książęcia Finlandzkiego, męczono i nazajutrz wszystkie rozmaitemi mękami tracono, ćwiertowano, że ci Polacy na onéj skale będąc, a słuchając, gdy oni na mękach wrzeszczeli, wołali spodziewając się takowéjże przygody, mało nie za umarłe zostawali, jedno się Panu Bogu poruczając. Wzięto ich potem w okręty z pannami z owéj skały, wieziono je do Tornefunt, z tamtąd do Stragnes, potem do Eskielstum. Płynąc z niemi prosili, aby im dozwolono na wyspę wysiąść, kędy borek widzieli, bo już z pannami trzy dni płynęli... tamże rydzów moc wielką znaleźli, których sobie u Bosmanów uprosiwszy nazbierać, k'temu trochę krup bez soli i żadnego maściwa we społek nawarzyli, a tém się odżywili: aż do zamku jednego Westrasz, na którym potém rok i sześć niedziel mieszkali, przypłynęli. Wyszedł k'nim Starosta, patrząc na ich niewolą wielką płakał; potém użaliwszy się ich kazał dać jeść i pić dostatek, i dzierżał ich kilka dni u siebie. Potém panny były do Helkiestuna wiezione do klasztoru, Włosi i Niemcy do Herbrutess inszego zamku.

Już tam Księżna Jéj K. M. będąc na Gripsolmie do połogu się zbliżała, i powiła w oném więzieniu, bardzo nędzném opatrzeniu i dostatku albo wysługowaniu, dzieweczkę Izabellę: ta im w półtora lata tamże umarła. A straży nad nimi było kilkudziesiąt knechtów, aby nie mógł z onéj izdebki żaden ujść, ani do nich wniść, nic im nie dodać: że ani staréj pani ku połogu nie miała, jedno co jéj panny w takiéj przygodzie służyły; a nadto, że jéj tak sprośne grube w tym połogu potrawy dawali, żeby najnędzniejsza zagrodniczka w Polszcze u nas na tém nieprzestawała. Uczynił potém Eryk ten srogi tyran łaskę nad nimi, że im dwa gmachy i więżę pozwolił i na trzeci rok wierzch pokojów i salę. W takim tam niedostatku na ten czas Królewna Jéj Mość była, że i dziecięcia onego powijać w co nie miała, aż u knechtów tych stare złe koszule kupowali, co ich strzegli, a to na pieluchy drapali. Powiła potém syna, któremu dała imię Zygmunt, który sam jeden nawyższą ich w oném utrapieniu, więzieniu, a srogiém niebezpieczeństwie uciechą był. Tam jako mizernie a nie wedle stanu ich byli chowani, długaby i żałosną to historyą wyczytać: bo sługi jego skoro wszystkie co przedniejsze przed oczyma jego ćwiertowano, tracono, do niego pod gardłem żadnemu przystąpić nie dano; jedno niektórzy kupcy polscy mając litość nad Królewną, krwią Panów swych, w koszu róż nieco talerów ukradkiem pod różą dodawali, mając litość nad żałosną przygodą a więzieniem niewinnych tych Panów; drudzy w baryłach, co wino posyłali w flaszach, czerwonych złotych nieco dodawali. Królewna także między przeguby u szaty coś złotych i łańcuchów kilka i klejnotów kilkanaście była dla przygody zachowała. — Tak oni kilka lat one srogie więzienie i niewolą cierpieli.

W oném tedy więzieniu będąc już zimę, za wielką nędzą srogie a okrutne więzienie cierpiąc, pisał ku Królowi prosząc, aby mu dopuścił przed Majestat swój przyjechać i swą niewinność pokazać. Jeźli się okaże że jest niewinnie oskarżon, aby dał nieprzyjacioły jego pokarać wedle zasługi; a jeźli winien zostanie sprawiedliwym dekretem wszej Rady i Majestatu jego, woli gardło dać niż więcéj to więzienie cierpieć. Przyzwolił Król i obiecał mu, że go miał *pro Tribunali* na Majestacie ze wszystką Radą jego defensyi słuchać, pozwoliwszy, dał mu czas i posłał mu troje szkap, na którychby zajechał, aby na pewny dzień samotrzeć się stawił. Gdy milę od Sztokolmu przyjeżdżał, wyjechało przeciw niemu kilkadziesiąt koni: kazano mu pierwéj kobyleniem drogę uczynić, że nie mógł jechać jedno ścieszką, którą zostawili pod szubienicę i między one pale, na których słudzy jego poćwiertowani a na pale powbijani jeszcze wisieli, i ćwierci ich na palach rozwieszane. Ci co przeciw niemu wyjeżdżali, tém go witali: Przypatrz się sługom swym, takim zdrajcom jakoś ty sam; a jako tu pod ich znaki jedziesz, tak z nimi tu będziesz cierpiał. Niż przyjechał do miasta, obwołano edykt, aby żaden człowiek czapki przed nim zdjąć nie śmiał. Żaden mu ani żywności żadnéj przedać albo darować, ani pieniędzy, ani upominku żadnego pod gardłem dać nieśmiał...."

Nie dopuszczono go przed Króla, ale na ratuszu tłómaczyć się kazano — czego, jako z krzywdą swoją uczynić niechciał... „W onéj swéj żałości dał tajemnie znać Królewnie, co się z nim działo; ta nieboraczka wpadła w większą niemoc, że od wielkiéj żałości mało nie umarła. Tak, że po szkaradnéj odprawie z ratusza do gospody szedł: żaden żywy człowiek z nim ani mówić, ani mu pociechy żadnéj uczynić nieśmiał: acz lud pospolity patrząc na onę żałość i uciśnienie jego, płaczliwie go żałował. Potém Król posłał: „Gdyś niechciał sprawy dać przed tymi, którzy byli odemnie na to wysadzeni, tedy idź zasię do więzienia; i to com ci był gmachów pozwolił, toć każę odebrać." Tak zasię do więzienia jeszcze sroższego odjechał. Ku onéj wielkiéj srogości przystąpiło jeszcze większe nieszczęście: że ten tyran Moskiewski, nie mogąc uspokoić myśli swéj, słał

do Eryka, aby mu Królewnę Polską Katarzynę posłał, posławszy mu sto soroków soboli i innych futer rysich, czarnych lisów bardzo kosztownych i klejnotów innych wiele, znamienite dary; postępując mu k'temu na każdego jego nieprzyjaciela trzydzieści tysięcy ludzi jezdnych, i dać mu pięć kroć stotysięcy złotych we złocie, i zamki w Inflanciech niektóre spuścić. Pierwszykroć wziął sobie Eryk *ad deliberandum*. Potém Kniaź Moskiewski w roku 1566 wtóre posły posłał: Gdyż niechcesz mi jéj posłać za dary a wdzięczne upominki moje w dobréj przyjaźni i za zachowaniem mojém, tedy to wiedz, że póki mię stawa, z tobą walczyć będę, nie tylko w Inflanciech, ale i w téj cię ziemi szukać będę. On jeszcze nie z pewną nowiną posła odprawił: aż trzeciego posła Moskiewski przysłał w mięsopusty, w roku 1567, którego Król Szedzki z wielką poczciwością odprawił bez omieszkania. Tudzież i swe posły wnet po onych posłach do Moskwy w poście wyprawił, którzy już konkludowali w oném swojém poselstwie, aby Moskiewski onéj swéj obietnicy poprzysiągł; a oni też imieniem Pana swego przysięgli Królewnę wydać, aby już po nią posłał: które acz z wielkiemi upominki i wdzięcznością odprawił, ale niemniéj z okrutnemi groźbami, gdzieby mu tego Król Eryk nie ziścił. Król tedy Eryk widząc, żeby mu była tego ziemia broniła, umyślił był wszystkie pany i szlachtę wytracić. Będąc na sejmie w Upsali, tam pozabijał pany.... Nakoniec i wszystkę szlachtę miano wymordować, jako spisek własny jego ręki znaleziono w kancelaryi, które miano pobić: bo wszystka niemal szlachta jest powinowata Książęcia J. M. tak po ojcu jako i po matce. I naradziwszy się Eryk z komorną Radą swoją, posły do Moskwy wyprawił rozkazując, aby już po Królewnę posłał. Przysłał tedy Moskiewski już po trzecie posła z wielkim dostatkiem i z wielkiemi dary, w piąciset koni z kolebkami, z saniami, które byli na granicach zostawili; a samę Królewnę wodą mieli wziąć. Posłał tedy Eryk do Królewnéj panie przedniejsze i posły swe, namawiając ją, aby na to zezwoliła, a onemu wszystkiemu Królestwu wieczny pokój od Moskiewskiego, wieczną sobie pamiątkę i bogomodlstwo od onych wszystkich krajów zjednała, a sama sobie tego życzyła, aby była Cesarzową tak możnego Pana; którą on sam ku większéj czci jéj, prowadzić chce i z swych ręku Cesarzowi Moskiewskiemu jako siostrę własną z uczciwością wielką oddać: gdyż już prawo téj Ziemie bratu jego dłużéj trwać na świecie nie dopuszcza, jako przesądzonemu obrazy Majestatu téj Korony; radząc a prosząc, aby to rada uczyniła, co jéj ma na wielką pociechę, sławę i uczciwość wyniść; że tak o niéj radzić chce, jako własny ojciec jéj nigdyby jéj życzliwiéj i przyjaźliwiéj ani radził, ani mógł dopomódz, jako on uczynić chce. Ta cna a święta Pani i mówić z sobą o tém niedała, i słuchać żadnéj perswazyi niechciała, jeno Panu Bogu poruczyła żałość swą, a o miłosierdzie za Książęciem J. M. Panem swym pokornie i uniżenie prosiła.

(Ciąg d. n.)

Kronika. — Co się u nas dzieje nie trudno to opowiedzieć ale trudno wiedzieć. Nie dla tego, jakobyśmy się sprawami bliźniego nie zajmowali, bo owszem nasze miasteczko nie ma odrazy od ploteczek (wada wychowania i nałóg starości) i zresztą, jak ktoś na „Piasku" kichnie, to z „Podgórza" możnaby odpowiedzieć: „na zdrowie"; ale są inne przyczyny. Wiedzieć — to znaczy wiedzieć prawdę, więc trzeba albo być świadkiem naocznym, albo od naocznego słyszeć, albo przeczytać wiarogodną relacją; tymczasem u nas nie ma zwyczaju znosić się, porozumiewać, pogadać; każdy sobie, więc wszyscy nikomu — i kronikarskiéj skrzynce grożą suchoty. Cóżże są jednak trudności w porównaniu z ciekawością — czyją? oczywiście kronikarza(?), który zresztą cieszy się, że nie łatwo u nas coś prawdziwie wiedzieć, bo gdyby było wiadomém, obeszłoby się bez pisania i bez kronikarza! A więc, Sezamie otwórz się: Na przyjemnościach nie zbywa nam wcale. Oto afisze ogłaszają muzykę w ogrodzie — publiczność nadciąga — tymczasem muzyki nie ma — lecz nikogo to nie dziwi. Oto p. Gallmayer ma występować w niemieckim teatrze — publiczność ściska się [1]) — tymczasem zapowiedziana, któréj właściwą rolą jest: *eine leichte Person* — zasłabła. Ciekawość wzrasta, bo dla czegóżbyśmy w Krakowie nie mieli się zapoznać z osławionemi *scandalöse g'schichten?* albośmy to gorsi od Wiednia? A więc na każdém następném przedstawieniu bywał teatr zapełniony, zwłaszcza, gdy artystka w zaimprowizowanym monologu zapowiedziała, że w Krakowie wypada jéj być solide, to jest przyzwoitą, naturalnie z pewnemi wyjątkami. Komedje i charaktery, w których się pokazuje tracą u nas wiele na wartości, zanadto są lokalne wiedeńskie i zanadto puste. Niemniéj jednak należy przyznać, że ma ona głos miły, wielką śmiałość i swobodę, ruchliwość wiewiórki, naturalność; warunki, które przy repertoarze na serjo i kierunku na serjo mogłyby z niéj zrobić w istocie artystkę. Dzisiaj jest tylko tém, co niemcy nazywają: *eine erscheinung*.

Naturalność jéj często nieobciosana i nietrzymana w karbach szyku i estetyki, któréj wymagania idą trochę daléj jak przyzwoitość — sprawia ten ekonomiczny skutek, że wystarcza widzieć ją raz — za powtórnym razem już się ziewa i wychodzi, chyba, że to jest niedziela, i posiada się usposobienie *eines Wienervorstaedtlers*.

Widok publiczności wychodzącéj tłumnie z teatru późnym wieczorem nadaje już we wrześniu pozór stołeczny miastu naszemu, które zwykle o téj porze już zasypia z „Czasem" w ręku, jeżeli preferans o swoje prawa się nie upomni. A szkoda spać jeszcze, dalibóg! Noc daną jest wyłącznie dla człowieka (czasami i dla słowika); inne twory śpią [2]), aby mu nie przeszkadzały — on jeden żyje przy oświetleniu sztucznem, albo niebieskiém. To ostatnie zwłaszcza bywa obecnie wspaniałe, wieczory są cudowne — nietylko planty nabierają uroku jakiegoś ogromnego parku, ale na rynku naszym są widoki tak przepyszne, że weneckim i genewskim nie ustąpią. Kiedy pełny księżyc po niebie płynie, kiedy kolorowe

---

[1]) Pomyłka druku — powinno być: ciśnie się.

[2]) Czy i hieny także? przyp. Fauny.

chmury w najfantastyczniejszych kształtach marjackie wieże okrążają, kiedy przez gotyckie okna kościoła i otwory ponurych sukiennic przebłyskują promyki gwiazd, a w głąb grodzkiéj ulicy otwiera się jakiś daleki, ciemniejący horyzont — to można się i do północy zapatrzeć i zasłuchać... i nareszcie zaziębić i umrzeć, czyli zgasnąć, jak one gwiazdy pod jesień żałośnie spadające.... A propos spadania nie zawadzi oprócz zaziębienia i o inném niebezpieczeństwie niezapominać. Oto idąc sobie po nocy np. ulicą św. Jana, można przy najcichszéj pogodzie nagle znaleść się wśród ulewy i gradu, szczęku i jęku i dobrego guza oberwać; dobrze jeszcze, jeżeli się uniknie roztratowania pod ostrogami! Kto nie wierzy, niech spróbuje — a tymczasem zawiadamia się nieofficjalnie, że w okolicach Krakowa mają się odbywać rewje. Wynika ztąd, że w samém mieście posiadamy obecnie mnóstwo pełnéj nadziei szarży wojskowéj — wynika ztąd daléj, że oficerowie potrzebują się bawić — a przecież nie mogą się bawić po naszemu tj. po cywilnemu, tylko po swojemu. Otóż pewnego pięknego wieczoru po teatrze zebrało się grono saméj szarży w restauracyi na 1em piętrze. Przy i po szampanowéj ochocie wystósowano adres zbiorowy do panny Gallmayer, iżby obecnością swoją towarzystwo zaszczycić raczyła. Zaproszona przybyła z koleżankami i.... Otóż niewiadomo jak, zkąd, czemu? dosyć, że powstał hałas, zamięszanie — okna się otwarły, słychać było głosy nieartykułowane; poczém talerze, butelki, szklanki poczęły spadać na ulicę. Dwaj policjanci przebudzeni z księżycowych marzeń dobili się na górę i ośmielili się robić uwagi! Biesiadnicy porwali się do pałaszy, policjanci w nogi, pałasze za niemi — itd. Czy téż to wszystko prawda? Księżyc wiedział — nie powiedział — słonko wstało, pozbierało.

Z tych wiadomości wojennych przejdziemy bez pomostu do prac pokojowych. Stowarzyszenia zaczynają się ożywiać: zamieszczamy odezwę stow. oświaty ludu — w stow. „Postęp" odbywają się bardzo pouczające praktyczne odczyty, na które szczególnie rzemieślnicy i to z rodzinami licznie uczęszczają — kasyno art. lit. i resurs miejski traktują jako dwa mocarstwa, przez ambasadorów sprawę połączenia swoich administracyj bez naruszenia odrębności obu zakładów wynikającéj z odrębności interesów— jeżeli rzecz ta przyjdzie do skutku, zyska na tém bardzo ruch towarzyski. Trwają téż starania, aby w sali radnéj odbywały się odczyty szczególowe dla każdéj profesyi, ku czemu wielkiém ułatwieniem będzie urządzone tamże przez p. Baranieckiego muzeum przemysłowe i wystawa. P. B. zasłużył się dobrze miastu i krajowi darem podobnego muzeum, dającego mu świadectwo wielkich usiłowań i niezwykłéj wytrwałości. Wystawę tę publiczność dotąd mało odwiedza, a można się tam wielu rzeczom napatrzeć, dla których kiedyindziéj chyba na paryzką wystawę potrzeba było jeździć. Szczególną uwagę zwraca grający zegar, utwór p. Ossieckiego z Kalwaryi, nad którym pracował dwa lata. Wielkie ramy obejmują widok jakiegoś zamku, parków, miasta, góry, lasy, wody, nawet ludzie chodzą i kolej żelazna przebiega. Wszystko to jest wyrobione arcymisternie z korkowego drzewa, tak, że niechce się wierzyć, żeby dzisiaj miał ktoś tyle cierpliwości — i to jeszcze Polak. Należy się spodziewać, że wystawa ta będzie ściągać liczną publiczność, jednak aż się trochę ułożymy.

Obecnie bowiem są jeszcze inne zajęcia. Oto małe góralskie koniki przywożą coraz więcéj białych budek do Krakowa, z których jak z poczwarek wylatują motylki o jasnych sukienkach i świeżych twarzach. Czy tę świeżość przypisać skuteczności wód mineralnych, czy towarzyskim spacerom i wieczorom tańcującym, niewiadomo; ale to pewna, że tego roku uprzedzająca gorliwość doktorów nikomu nie chorować a przynajmniéj bez rady i recepty zostawać niepozwalała. Wszyscy wracają do domu z tłomoczkami i wspomnieniami. Ileż nowych znajomości się porobiło? Ile niewidzialnych drutów telegraficznych sercowych weszło w ruch i puka igiełką magnetyczną: kocham, pamiętam. Iluż karjerzystów ukończywszy kurację w wodach mineralnych udało się dla zupełnego wyzdrowienia do szkatułek mineralnych posażnych panien i konwojuje troskliwie ich posiadaczki. Cały ten pochód kąpielowych karawan ożywił nasze miasto, napełnił sklepy. — Z drugiéj znowu strony majętni i ubodzy zwożą do miasta dzieci do szkół. I tu obok kuferków, któremi wyładowane wózki, ileż nadziei? Jak prędko w myślach ojca mały żak rośnie na dygnitarza, geniusza? Zastęp uczącéj się młodzieży zwiększa się z każdym rokiem; a z nim i liczba białych kartek na bramach, zapraszających pp. Studentów na wicht albo na stul i stancją.

A niemało téż kłopotu sprawia zbliżający się Ś. Michał — od rana biegają po ulicach panie i panowie szukając mieszkań, które w Krakowie odznaczają się specjalnemi przymiotami: drogością, zdezelowaniem i niegrzecznością gospodarzy przekonanych, że wynajmując mieszkania robią łaskę i grzeczność publiczności — co kraj, to obyczaj, a mądry ten, co się nie żali naprożno, ale bierze rzeczy tak jak są, i zamiast wygadywać np. na nieschludność na plantach, siada sobie lojalnie na ławce z oparciem — patrzy i słucha. Nie jest to zatrudnienie bez pożytku. Kronikarz może to własną osobą poświadczyć. Siedząc bowiem na plantach słyszał mimowoli rozmowę, z któréj się dowiedział o jednym jeszcze nieznanym mu kłopocie, jaki pewne umysły niepokoi. Oto mówili:

A. Patrz jak ładnie wygląda panna X.

B. Idzie za mąż.

A. A to kto?

B. Od dwóch tygodni pani Z....

A. I ta? — to niesłychany tego roku urodzaj na małżeństwa!

B. W tych dniach będą śluby PP. X. Y. itd. (wyliczył 6).

A. A bodajże to licho — jakże to tego roku będzie wyglądał karnawał w Krakowie? Jeżli tak daléj pójdzie i jeszcze panny: W. Z. T. M. S. wstąpią do zakonu Adama, to już chyba same *Kinderbale* będą!

B. Bądź zdrów.

A. Dokąd?

B. Na Gallmajerkę. —

I wiele innych jeszcze tęsknych żalów słyszał kronikarz, które jako żałosne kukułki na kasztanach plantacyjnych pousiadały, owijając się w żółkniejące liście — ale o tém następną razą — w nowym kwartale.

*** **Od zarządu centralnego Towarzystwa przyjaciół oświaty ludowéj** otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

Po ukonstytuowaniu się, rozesłał zarząd centralny Stowarzyszenia przyjaciół oświaty ludowéj wezwanie do rozmaitych osobistości, o których wiadomo mu było, że chętnie podejmują każdy trud, jeżli spodziewać się mogą z tego pożytku dla ogółu, z prośbą, aby raczyli zająć się zawiązywaniem filij powiatowych.

W skutek tych zaproszeń otrzymał dotychczas zarząd centralny uwiadomienie o zawiązaniu filij w następujących powiatach:

Biała	delegat	p. Chwalibóg Teofil.
Bochnia	"	" Hoszard Franciszek.
Bóbrka	"	" Noel Adam.

Brzesko	delegat	ks. Kitrys.
Brzeżany	„	p. Łuczkiewicz Antoni.
Buczacz	„	„ Wolański Witołd.
Czortków	„	„ Wróblewski Władysław.
Dąbrowa	„	„ Domaradzki Władysław.
Gorlice	„	„ Olszewski Leon.
Gródek	„	„ Wismann Edward.
Husiatyn	„	ks. Woliński Jan.
Kałusz	„	p. Kunaszowski Maciej.
Kamionka	„	„ Wasilewski Tadeusz.
Kossów	„	„ Strasser Karol.
Lwów	„	„ Widman Karol.
Myślenice	„	„ Pawlikowski Miecz.
Nowy Sącz	„	„ Stadnicki Fortunat.
Pilzno	„	ks. Koibuszewski Ignacy.
Rudki	„	„ Terlecki Ignacy.
Przemyślany	„	„ Zarzycki Modest.
Staremiasto	„	„ Bielański Kazimierz.
Stryj	„	„ Zatwarnicki Antoni.
Tarnopol	„	„ Kociatkiewicz Aleks.
Żydaczów	„	„ Głażewski Józef.

Usiłowania Towarzystwa przyrzekły także poprzeć reprezentacje powiatowe: w Brzozowie, Gródku, Lwowie, Pilźnie, Rohatynie, w Śniatynie i Tarnopolu.

Zarząd centralny ma nadzieję, że i inne Wysokie Rady powiatowe, uznając ważność pracy nad oświatą ludu dla dobra powszechnego, nie raczą odmówić poparcia działaniu Towarzystwa.

Celem istnienia Towarzystwa naszego jest: *a)* W szeregach swoich zespolić wszystkich obywateli kraju bez różnicy płci i stanu, skłonnych do uczynienia chociażby najdrobniejszéj ofiary dla dobra mniéj moralnie i umysłowo rozwiniętych współobywateli; *b)* w miarę możności rozbudzać stopniowo u ludu samego chęć do przyczynienia się czémkolwiek do pracy nad uszlachetnieniem serc swoich i pomnożeniem wiedzy; a nareszcie *c)* nadać usiłowaniom licznych po ziemi naszéj rozsianych przyjaciół i przyjaciółek ludu, umiejętnie obmyślany kierunek jednolity. Kto zechce więc przyznać użyteczność istnienia Towarzystwa, niechaj je popiera. W myśl §. 5 lit. *a)* statutu, staje się każdy członkiem Towarzystwa, kto zobowiąże się wnosić do kasy Towarzystwa przynajmniéj 25 centów kwartalnie, czyli 1 złr. w. a. rocznie.

Wszystkie pisma polskie, przychylne sprawie oswiaty ludu, upraszamy o powtórzenie niniejszego oświadczenia. — Lwów dnia 5. września 1868.

Adam Sapieha, przewodniczący. *Teofil Merunowicz,* sekretarz.

*** **Nauka rysunków dla dziewcząt.** Zajmowaliśmy się już niejednokrotnie sprawą pracy kobiet; w przedmiocie tym zamieścimy niezadługo obszerną i wyczerpującą rozprawę, a dzisiaj przy rozpoczynających się kursach, powiemy tylko słów kilka o rysunkach. Nie da się zaprzeczyć, że dla pracy kobiet są pewne naturalne granice, nie w każdym zawodzie może kobieta skutecznie pracować, a zwłaszcza wytrzymać konkurencją z pracą mężczyzn. Tém téż gorliwiéj należy dbać o to, aby wyzyskać i przystępnemi uczynić dla kobiet te gałęzie zarobkowania, które w zakres ich usposobienia wchodzą.

Otóż nauka rysunków jest tutaj bardzo właściwém i obszernem polem. Nie myślimy tu oczywiście o rysunkach diletanckich, które dzisiaj są uprawiane — bez żadnego pożytku i celu. O kształcenie zmysłu estetycznego, rozumienie kształtów i barw wcale tam nie idzie, a nauka ogranicza się na bezduszne i bezcelowe kopiowanie. Taka nauka nie przyniesie nigdy owoców — to zabawa tylko. Rzecz tę należy wziąść na serjo. Jeżeli idzie o to, aby biegłość i wiadomości przydały się jako fachowe uzdolnienie, mogące dać utrzymanie, to trzeba zabawę zastąpić studjami. Nie idzie wcale o przysposobienie artystek, ale o otworzenie odpowiedniego i przyjemnego źródła zarobkowania. Nawet słabe zdolności mogą nabrać wprawy i być poszukiwane, gdyż biegłość rysunkowa może się przydać do mnóstwa robót wymagających jedynie dokładności i prostego rozumienia rzeczy. Uprawa stósowna nauki rysunków może się przyczynić skutecznie do rozwoju artystycznego przemysłu i rzemiosł, do czego wykształcone kobiety czynnie przyłożyć się powinny otwierając niezliczonym biednym dziewczętom sposób do ludzkiego życia. Dla tego téż i po wszystkich szkołach i zakładach nauka rysunków zaprowadzoną i pilnie uprawianą być powinna.

Malowanie porcelany, emaliowe, robót galanteryjnych, sztuczne hafty, desenie dla tkactwa i fabryk tapetów — są jedynie w możności tysiące słabych rąk korzystnie zatrudnić. W Anglii doszło już nawet do tego, że dziewczęta pracują w kancelarjach fabryk maszyn, i tak w fabryce p. Dubs (Messager of the Glasgow Locomotive Works) cztery dziewczęta rysują modele i plany w biurze konstrukcyjném.

Już i w Wiedniu pod tym względem uczyniono postępy, o czém jużeśmy raz pisali. Za staraniem kilkunastu szlachetnych kobiet przyszedł do skutku zakład szwalni, bazaru i przemysłowo-rzemieślniczéj szkoły rysunków. Byłby czas, żeby u nas pomyślano o specjalnych zakładach i o ulepszeniu doli tysiąca pracownic, i żeby w wychowaniu w ogóle zwrócono więcéj uwagi na przysposobienie specjalne, fachowe, mogące w razie potrzeby stać się źródłem przyzwoitego utrzymania, stać się tarczą przeciw sieroctwu, opuszczeniu i nędzy....

---

† **Karolina Birch-Pfeiffer.** — Ze zapisków H. Laubego podajemy następujące szczegóły o zmarłéj właśnie autorce:

Umarła nagle, niespodziewanie. Podagra i asthma dręczyły ją od kilku lat, ale nikt tego za niebezpieczne nie uważał.

Miała ze sobą w Karlsbadzie nowy utwór: „Kto ona jest?“ — a kiedy się zajmowała nową pracą czyniła to tak żywo i gorąco, że uczucie cierpień ustępowało. Pisanie rzeczy scenicznych było jéj warunkiem życia.

Powróciła do Berlina z powodu choroby męża, podróż i wzruszenia dobiły ją — była bowiem zawsze z wielkiém poświęceniem dla rodziny.

Karolina rozwijała się prędko, jeszcze dziecko prawie wyglądała na dorosłą i wstąpiła do teatru nadwornego w Mnichowie. Była smukłą, tęgą, głos silny, głęboki, twarz nie bardzo ładna. Z téj ostatniéj przyczyny właściwemi jéj rolami stały się matki i bohaterki.

Dała się poznać w całych Niemczech. Odznaczała ją energia przekraczająca miarę gry scenicznéj. Paliło ją bowiem powołanie autorskie. Duch przemagał nad formą. W sztuce scenicznéj duch musi się wcielać w rolę. Miara i gracja mają tu równe prawa co duch, który nie powinien niszczyć równowagi między sobą, a wdziękiem zewnętrznego pojawu. Otóż u niéj psychologia moty-

wów więcéj znaczyła, jak wdzięk wykonania. Autorka spychała aktorkę na drugie miejsce.

Od 30go roku życia pisała dla sceny. Około roku 1830 pojawiły się: „Pfefferrösel", „Sammtschuh"..... Odtąd następuje mnóstwo utworów przerabianych z powieści albo oryginalnych, w których sposób przedstawienia jest jéj właściwością: „Günstlinge" (Faworyci — główna rola Katarzyna II. ros.) — „Markiza Villette".. Siostra jéj sztywna i zimna, była przy niéj jako lektorka — czytała wszystko aby Lotce opowiadać — ta zaś czytała tylko to co można było użyć dla sceny. Mając przedmiot wzięty z książki lub życia — zwykle go zaraz udramatyzowała, bez przetrawienia i zaokrąglenia ścisłego. To jest wadą autorki, a cechą namiętnego temperamentu. Powoływała się, że Szekspir najlepsze przedmioty brał ze starych nowelli. Jednak to inna rzecz. W nowellach bywały zdarzenia opowiedziane po prostu, nie narzucając motywów i charakterów — które sam Szekspir tworzył. Przeciwnie u Birch-Pfeiffer — przedmiot wzięty jest główną rzeczą — obrobienie mechanizmem. Udanie się jéj utworów zależało więc od tego, jeżeli przedmiot bogactwem swojém nie przerastał jéj sił. Talent sceniczny miała wielki — ale mało wyobraźni, gustu i estetycznego taktu. Widoczném to jest najlepiéj w przerabianiu wielkich romansów. Tutaj jest rozmaitość, obrobienie szczegółów, dążność i potrzeba, żeby się rozszerzać, wygadać, odsłaniać. To wszystko jest przeciwne budowie dramatu, który wymaga ścisłości i skupienia. Dlatego téż te przerabiania p. Birch-Pfeiffer zeszły ze sceny — zajęły raz ciekawą treścią, ale sprężyn dramatycznych tam nie ma, nie ma walki charakterów, tylko skrzynka wydarzeń powieściowych. Nawet „Jane Eyre" i „Grille" (świerszcz, poczwarka), „Sierota z Lowood", gdzie rzecz niby koło charakteru się skupia, zdradzają szopkę i kopią. Jestto udawanie, osoby wzięte z zewnątrz, a nie wzrosłe w duszy autorki.

Potrzeba téż było obcinać i zmieniać jéj utwory, ażeby umożliwić przedstawienie.

Była ona jednak wielce przydatną — teatr potrzebuje takich talentów, które codziennéj strawy obficie dostarczają, a nadto siła ich w tém, że piszą role dla artystów. Jestto warunek, który zawsze utrzyma sztukę, jeżeli są dobrzy artyści. Jeżeli sztuka padnie, to rola zyskuje powodzenie i oklaski.

Napisała sztuk przeszło 80. Krytyka cięła ją niemiłosiernie — ale teatra przedstawiały — sztuki jéj jeżeli prędko mijały, miała już nowe w ich miejsce. Śmieszne tylko były nieraz jéj pretensje do oryginalności, o co nawet autorowie procesa jéj wytaczali. Z wszystkich jéj sztuk pozostaną najdłużéj na repertoarze: „Sierota z Lowood", „Poczwarka" i z powieści Auerbacha: „Pani Profesorowa" przerobiona sztuka pod tytułem: „Wieś i miasto".

*** **Podatek na bezżennych.** — Gazeta antwerpska „Opinion", donosi za rzecz pewną, że pewien radzca gminy miejscowéj zajmuje się wypracowaniem projektu do prawa o nowym podatku, któryby mieli opłacać mężczyzni, którzyby do 35 roku życia nie porzucili stanu kawalerskiego. Dziennik powyższy uznaje tę myśl za sprawiedliwą i rokuje jéj powodzenie, bo jak mówi, z pewnością popierać ją będzie piękniejsza, a więc władniejsza połowa rodu ludzkiego.

*** **Odwaga kobiet.** Znałem, mówi jeden złośliwy pisarz, kobiety, które nie miały odwagi jeździć konno, z obawy, że koń może się unieść; inne, które się wzdrygały przed wodną przejażdżką, z obawy, że łódź może się wywrócić; inne jeszcze, które nie chciały pójść na spacer wieczór, żeby im rosa nie zaszkodziła — nie widziałem jednak ani jednéj, któraby nie miała odwagi pójść za mąż — a przecież zdaje się, że jest to krok nierównie śmielszy, jak wszystkie razem tamte niebezpieczeństwa.

*** **Z życia miejskiego.** Przed kilku dniami ukazał się na plantacjach wózek z dzieckiem kilkomiesięczném, prowadzony przez piastunkę. Drobny to fakcik, na który niezwracalibyśmy niczyjéj uwagi, gdyby nie następstwa, jakie za sobą wywołał. W kilka godzin cały fraucymer służebny na plantach zawrzał oburzeniem na tę obelgę wyrządzoną jego godności — a nazajutrz, zbuntowana przez przyjaciołki Marysia, podziękowała państwu za służbę. Jako jedyny powód podała tylko: „ogromną kompromitację jaka ją spotkała, bo wszystkie dziewczęta z miasta śmieją się z niéj, że wózek ciągnie!!" Po długich namowach, zgodziła się nareszcie wstydliwa Marysieńka pozostać nadal, ale pod tym warunkiem, że już nigdy w święta z wózkiem jeździć nie będzie. Fałszywy ten wstyd wybornie charakteryzuje nasze dziwne obyczaje — za granicą nietylko piastunki, ale matki same często spotykać można ciągnące wózki ze swemi dziećmi. U nas któraż dama zdobyłaby się na podobnąż ofiarę?! Przykład dany z góry, działa skuteczniéj niż wszystkie nauki — mówimy wiele i piszemy o oświacie ludu, ale kształcenie umysłów osób w najbliższych zostających z nami stosunkach, jak służących, jest nam zupełnie obojętném. Drobnostka to, powtarzamy, tylko drobnostek podobnych jest tak wiele, że nie trudno odgadnąć w jakiém przedstawilibyśmy się świetle, gdyby ktoś sądzić chciał o nas według miary: jaki sługa taki pan.

Ofelja.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.